



WŁADYSŁAW FEJKIEL

Dnia 10 października 1945 r. prokurator Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie przy ul. Grodzkiej 52, dr Martini, z udziałem protokolantki Żukrowskiej przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka. Po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i o treści art. 107 kpk świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Władysław Fejkiel
Wiek	34 lata
Imiona rodziców	Jan i Karolina
Miejsce zamieszkania	Kraków, ul. Smoleńsk 1
Zajęcie	lekarz
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany
Stosunek do stron	obcy

W 1940 r. w sierpniu zostałem aresztowany przez gestapo pod zarzutem przynależności do polskich organizacji wojskowych. Z braku dowodów zrobiono ze mnie zakładnika i po 2,5-miesięcznym pobycie w więzieniach 8 października 1940 r. przewieziono mnie do obozu koncentracyjnego Oświęcim. Przebywając w nim, przeszedłem na sobie wszystkie możliwe próby [wy]kończenia więźnia. Jesień, zimę i wiosnę w drelichu, bez czapki i płaszcza, w drewnianych holenderskich czótnach, pracowałem przy robotach ziemnych, noszeniu cegły i kamieni oraz wyładowywaniu z wagonów żelaznych szyn i rur, służących do budowy.

Trzy miesiące trzymałem się jako tako, po trzech miesiącach pod wpływem przebytego zapalenia płuc w czasie pracy i niemożności dostania się do szpitala, opadłem zupełnie z sił,

z wagi 75 kg spadłem do 42 kg. Równocześnie wystąpiły u mnie wszystkie objawy choroby głodowej, jak: obrzęki nóg, uporczywa biegunka, osłabienie wzroku, słuchu, utrata pamięci. Osłabienie było tego stopnia, że nie byłem już w stanie podnieść dwukilogramowego ciężaru. W takich warunkach niepotrzebny Niemcom jako siła robocza, zawadzający współwięźniom jako niedołęga, byłem przygotowany na śmierć przez zabicie kijami przez tak zwanych kapo, pospolitych przestępców niemieckich. Tylko upór chłopa i nadzieja odwetu są powodem, że okres ten przeżyłem. Do bloku mieszkalnego sprowadzali mnie dwaj koledzy pod rękę i w taki sam sposób wyprowadzano mnie do pracy. Ten okres pozostawił zmiany na moim ciele pod postacią wybitych przednich zębów, poszarpanego nosa i silnej niedomogi mięśnia sercowego. Do szpitala przyjęto mnie jedynie dlatego, że w tym czasie służył on jako składowisko zwłok, skąd odwożono je do krematorium. Zupełnie przypadkowo, dzięki pomocy kolegów Polaków, po kilku miesiącach leżenia doszedłem do jakiegoś takiego zdrowia. Przez dwa lata prowadziłem jako lekarz więzień oddział zakaźny, a w 1944 r. zasugerowany przez Polaków i komunistów austriackich naczelnym lekarzem obozu mianował mnie starszym obozu chorych i naczelnym lekarzem. Jako starszy obozu byłem odpowiedzialny moralnie wobec współwięźniów za leczenie i chronienie w szpitalu kolegów, zaś przed SS-lekarzem musiałem odpowiadać za porządek i dyscyplinę w obozie.

Cele praktyk niemieckich i metody są mi znane jak najdokładniej. Ustrój administracyjny, bezpieczeństwo obozu, życie pojedynczego więźnia i życie polityczne obozu znam tak, jak może znać człowiek, który brał w nim udział. Front oporu wobec hitleryzmu polegający na zjednoczeniu wszystkich elementów pozytywnych, bez względu na narodowość i przekonania polityczne, był tworzony w dużej mierze w szpitalu oświęcimskim. Duszą tego ruchu były elementy przedwojennej polskiej lewicy, szczególnie PPS, która stała się platformą porozumienia międzynarodowego. Efektem tych wysiłków było zamknięcie mnie do bunkra razem z wieloma kolegami i wydanie na nas wyroku śmierci. Ocalało nas zaledwie kilkudziesięciu.

Okrucieństwa i okropności obozu są ogólnie znane. Niemcy mieli jedną zasadę: kto do obozu wchodzi, nie powinien z niego wyjść. Te przepisy odnosiły się zasadniczo do Polaków i Żydów. Jeśli więzień był słaby fizycznie albo starszy – musiał ginąć z powodu niewygód, ciężkiej pracy i bicia w pierwszych dniach pobytu. Jeśli przetrwał – to ginął po kilku miesiącach z głodu. Na jedzeniu obozowym można było przetrzymać trzy do czterech miesięcy. Kto żył dłużej, to dlatego, że miał pomoc żywnościową od starszych kolegów albo

okradał magazyny SS. Ktoś, kto był dłużej jak pół roku, nie mógł liczyć, że przeżyje obóz, a to dlatego, że komendant obozu z szefem biura politycznego przeglądali corocznie akta więźniów i na tych, którzy uchowali się jeszcze, wydawali wyroki śmierci – rozstrzeliwano ich później w bunkrach. Do wiosny 1941 r. rozstrzeliwań w obozie nie było.

Pierwsze egzekucje więźniów pojawiły się z wiosną 1941 r. Te początkowe rozstrzeliwania odbywały się na podwórzu 11 bloku albo poza obrębem obozu. Rozstrzeliwania były prawdopodobnie na mocy oficjalnego wyroku z Berlina, bo odbywały się z całą pańską paradą, z plutonem egzekucyjnym, w obecności komendanta, dowódcy obozu i lekarza. Odczytywano wyrok śmierci w dwóch językach – po niemiecku i po polsku – a potem strzelanie ze zwyczajnych karabinów. Więźniowie stali przodem do plutonu egzekucyjnego, mieli ręce związane drutem. Celowano w klatkę piersiową i w głowę. Był to akt – można powiedzieć – prawie oficjalny, bo nawet wolno było o tym w obozie mówić. Na wiosnę 1941 r. przyjechał do obozu Himmler, a krótko po nim Fohl czy jakiś inny z wysokich dygnitarzy. Zaprowadzono go na blok 11 i odbyła się tam próbna egzekucja. Opowiadano wtedy w obozie, iż strzelano, ale nikt salwy nie słyszał. W lecie 1941 r. przekonaliśmy się, że egzekucji dokonuje się przy pomocy krótkiego karabinka, a w jesieni 1941 r. obserwowałem naocznie z sąsiedniego bloku, jak *Rapportführer* Palitsch dokonywał egzekucji z karabinka małokalibrowego. Przykładał karabinek prawie że do samej potylicy więźniów, stojących po dwóch koło siebie ze związanymi rękami, zaś drugi SS-man dobijał leżących na ziemi z rewolweru. W zimie 1941 na 1942 r. zlikwidowano w ten sposób w przeciągu kilku dni około 800 rosyjskich jeńców. Dzienny „ubój” wynosił według moich obliczeń do 500 osób w jedno zimowe popołudnie. Karabinek miał tę zaletę, że nie słychać było wystrzału, raczej syk, mam wrażenie, że miał tłumik. Kaliber miał większy jak flobert, a wlot pocisku był tak duży, że czasem rozłupywał całą potylicę i wywoływał duże krwawienie ze zwłok. Rozstrzelanych początkowo składano do trumien, zaś później – z powodu dużej liczby dochodzącej do kilkuset dziennie – wkładano zwłoki na wozy albo na samochody z ciągnikiem i wywożono bądź do krematorium, bądź chowano w zbiorowych grobach w okolicy Brzezinki. Od 1941 r. zauważyliśmy, że rozpoczyna się masowa likwidacja więźniów, na którą Berlin dał ustne *placet*, bo wyrokami oficjalnymi nie chciał się bawić. Od tego czasu kończono więźniów trzema sposobami: chorych zastrzykiwano fenolem albo gazowano cyklonem B w komorach gazowych, zdrowych zaś i silnych rozstrzeliwano. Rozstrzeliwanie z karabinka było bezpieczniejsze dla SS-manów, bo skazanych na śmierć najpierw pojedynczo aresztowano

w obozie i osadzano w bunkrze, skąd wyprowadzano ich pod ścianę egzekucyjną związanych, zaś gazu nie można było pojedynczo stosować (duże koszty), a grupę wozić do komory, która znajdowała się kilka kilometrów od obozu, SS-mani nie ryzykowali. Tak samo „fenolować” mocnych nie udało się.

W 1943 r. dowiedzieliśmy się w obozie z prasy niemieckiej o Katyniu. Komentowaliśmy Katyń jako nikłe wydarzenie, porównując je z setkami mordowanych i męczonych codziennie kolegów. Śmierć kilku tysięcy Polaków wobec setek tysięcy niszczonej w obozach niemieckich traktowaliśmy jako błahostkę. Dziwny wydał się nam protest polskich władz z powodu Katynia i czuliśmy się wtedy mocno osamotnieni i bez opieki. Bo dlaczego nie protestował dotychczas nikt w naszej sprawie? Przecież barbarzyństwa niemieckie i okrucieństwa dokonywane na Polakach w obozach koncentracyjnych były chyba Zachodowi znane. W miarę ukazywania się reportaży prasy niemieckiej o Katyniu, sprawa wydała się nam mocno podejrzana. Grupy polskiej lewicy przebywającej w obozie wyrażały obawę, że Sikorski dał się nabrać albo propagandzie, albo komuś, komu zależało na tym, żeby stosunki między Polakami a Związkiem Radzieckim zaostrzyć. Zaczęliśmy się tym żywiej interesować i doszliśmy do wniosku, że Katyń absolutnie jest robotą, która ma jakieś swoje głębokie cele, bo dlaczego Niemcy, którzy tak dokładnie byli zawsze poinformowani – wchodząc do państwa obcego – o każdym najmniejszym drobiazgu, o każdej nawet przez chłopa jak najlepiej schowanej świni, nie odkryli tej zbrodni zaraz po wejściu do Katynia. Przecież zależało im na tym, żeby skierować opinię świata przeciw Rosji. Przecież, jak podawała prasa niemiecka, żyli naoczni świadkowie roboty katyńskiej, którzy byliby na pewno informowali władze niemieckie po zajęciu Katynia. Z opisu dzienników niemieckich „roboty” ta przypominała łudząco niemieckie załatwianie się z nami. Przecież u nas używano również *Genickschussu*, a przedtem każdego mordowanego obrabowywano z zegarków i pierścionków – w Katyniu też tak było. Prasa zaś niemiecka zaczęła ni stąd, ni zowąd boleć nad martyrologią Polaków, a poczęła to robić nagle, we wszystkich dziennikach, jakby na rozkaz, typowo po prusku. Równocześnie ze sprawą katyńską meldowano nam, że na terenie Generalnego Gubernatorstwa niespodziewanie zaznaczyły się próby regulowania stosunków z Polakami. Baliśmy się przy tej okazji, że może ktoś w Polsce znaleźć się naiwny i pójść za propagandą niemiecką.

Wyjazd do Katynia rzeczoznawców i fachowców medyków sądowych robił na nas wrażenie, jakby ściągnięto ich przemocą, a treść orzeczeń wyglądała nam też na rozkaz.

Po rozważeniu argumentów *pro* i *contra*, sprawę wyjaśniliśmy. Część kolegów była zdania, że Niemcy coś niecoś znaleźli w Katyniu, a na konto Rosjan dorobili bardzo dużo. Większość zaś, szczególnie ludzie z lewicy polskiej, przyjęła, że Katyń jest robotą typową niemiecką, bo: 1) Technika „roboty” niemiecka, 2) Rosjanie cofający się, musieli się liczyć z tym, że znajdą na te tereny Niemcy i że Katyń odkryją; przecież musieli się liczyć z tym, że ściągną na siebie opinię całego świata, a na pomoc od świata w tym czasie krytycznym dla Związku Radzieckiego musiano liczyć – wobec tego podobnych głupot zrobić nie mogli. Oprócz tego, gdyby nawet robili to, mieli do tego tereny w głębokiej Rosji. 3) Dlaczego zamordowanym odebrano zegarki i pierścionki, a pozostawiono przy nich dokumenty osobiste? Czy po to, żeby potem Niemcy mogli łatwo zidentyfikować zwłoki? 4) Gdyby Katyń był tworem rosyjskim, to Niemcy odkryliby go byli od razu po wejściu do Katynia, a nie dopiero w 1943 r. Trzeba było widocznie trochę odczekać, żeby zwłoki podgniły i trudniej było znawcom sądowym określić czas, jaki upłynął od zamordowania. Jasne stało się dla nas, że Niemcy mieli w Katyniu swoje cele, a to: poróżnienie aliantów i wywołanie propagandy antyradzieckiej w świecie, zapewnienie sobie spokoju w Generalnym Gubernatorstwie, to jest na tyłach ich cofających się armii. Niemcy w tym czasie byli w fazie odwrotu i klęski. Bali się dywersji i współpracy polskiej armii podziemnej z Rosją. W czynną mobilizację Polaków do walki przeciw Związkowi Radzieckiemu nie wierzyliśmy, również jak i Niemcy, ale baliśmy się, że na skutek tej propagandy uda się wytworzyć w Polsce taką atmosferę, że naród i armia podziemna zachowają się biernie, wołąc stare zło i starą okupację od rzekomych nowych maltretowań. Wyjazd Polaków jako dziennikarzy i znawców do Katynia potraktowaliśmy, że albo ci ludzie jadą z głupoty, nie zastanawiając się, ile szkody własnemu narodowi czynią, albo zmuszeni przemocą, albo współpracują z Niemcami. Bo gdybyśmy nawet przyjęli, że Katyń stworzyli Rosjanie, to któż z rozumnych Polaków przez robienie propagandy antyradzieckiej będzie jątrzył i pogarszał stosunki ze Związkiem Radzieckim, zwłaszcza wtedy, kiedy Armia Czerwona miała wejść w granice Polski. Baliśmy się również rozdwojenia orientacji politycznej między Polakami. Po upływie krótkiego czasu od sprawy katyńskiej przyjechał do obozu niejaki Kos, który – będąc chory na malarię – był przeze mnie leczony. Tenże Kos przyznał się w swojej naiwności, że jest redaktorem „Dziennika Radomskiego” i że w charakterze reportera prasowego był w Katyniu, zaś wywiad kolegów doniósł mi, że jest on współpracownikiem niemieckim i należy się go wystrzegać. To przekonało nas, że Niemcy do Katynia brali rzeczoznawców i dziennikarzy tylko swoich.

Odczytano.